

Cichoborek

Urszula Stokłosa



Gaunka

Cichoborek



fot. Michi Baumann

Urszula Stokłosa urodziła się w 1990 roku w Żywcu. Ukończyła filologię polską na Uniwersytecie Wrocławskim. Obecnie mieszka w Unterhaching – niewielkiej miejscowości pod Monachium. Prywatnie – szczęśliwa żona, zawodowo – zadowolona z życia pomoc domowa.

Lubi dobrą literaturę i podróże, a przy tym obserwować i rozmyślać. Oprócz kilku ludzi, kocha swojego psa i swoje roślinki. Nie wyobraża sobie życia bez kawy, za to spokojnie mogłaby się obejść bez słodyczy i internetu.

Urszula Stokłosa
Cichoborek

Łauka
2019

Copyright © Urszula Stokłosa, 2019
Copyright © wydawnictwo JanKa, 2019

Wydanie I [cyfrowe – fragment]
Pruszków 2019

ISBN 978-83-62247-69-1

Justynie

Senność

Mania pochylała się nad muszlą klozetową, patrząc, jak toną w niej waciki.

Miała dwadzieścia lat, krzywe zęby, pryszczki i chciałyby chodzić z chłopakiem. Raz odważyła się nawet zapytać Maćka. To było w szkole. Przerwa między biologią a religią.

– Maciek, będziemy chodzić razem?

Nie zdążyła dorzucić, że zapłaci.

– ... choćbyś mi i dopłaciła – tak Maciek zakończył swój długi i nieprzyjemny dla Mani wywód. – No i chodzę już z Iwonką – dodał, bo takim świniom jak Maciek też czasami mięknie serce.

Zdarzyło się to jeszcze w gimnazjum, więc Mania dawno temu puściła ten incydent w niepamięć. Zresztą już wtedy szanowała każdą świnię, bo była wegetarianką. Poza tym z kim jak z kim, ale konkurować z taką dziewczyną jak Iwonka?

Iwonka... Mania nieraz się jej przyglądała, kiedy na tym samym przystanku czekały na pekaes do Smęcic. Długie nogi Iwonki, zwykle obleczone w kolorowe rajtki, wzbudzały w Mańce nieodmienne poruszenie. Bo nogi to i tak już wystarczająco piękne dziewczę miało jak z innej bajki, jakby nie były częścią jej ciała, tylko jakimś odrębnym bytem, nieskończenie doskonałym. Właściwie te nogi mogłyby istnieć nawet bez reszty Iwonki. Mogłyby stać same na przystanku, a i tak prawdopodobnie

wywoływałyby ten sam zachwyty. Mania wyobrażała sobie czasami, że należą do niej. Oczyma wyobraźni instalowała Iwonkowe nogi we własnym ciele, dowolnie nimi przy tym obracając. Najbardziej lubiła opcję cieńszym końcem do rzyci.

Ale Mania tak naprawdę była całkiem normalna, a to, że nogi Iwonki doprowadzały ją do szaleństwa, było spowodowane wyłącznie ich czystym pięknem. Iwony nie dało się nie podziwiać. Był w niej jakiś pierwiastek magiczny, który Mania tak często dostrzegała w kobietach, podczas gdy u mężczyzn widziała tylko jego brak. Mimo to chciała chodzić z chłopakiem, ponieważ czytała w książkach, że to całkiem miłe uczucie zasypiać w męskich ramionach.

W Maciusiu właściwie niewiele widziała. Po prostu tak jej wtedy jakoś wpadł pod nos, kiedy akurat oboje smarkali przy kubie na śmieci. Może ta wspólnie wykonywana czynność tak ośmieliła tego dnia Mańkę, że pomyślała o dłuższym zjednoczeniu, a może temu nabrała śmiałości, że przed religią zawsze doznawała natchnienia?

Już więcej nikogo nie pytała, czy chciałby z nią chodzić, ale mniej więcej pięć lat po historii z Maćkiem wydarzyło się coś, co pozwoliło jej mieć nadzieję, że i ona może być przez kogoś kochana. Wiązało się to z przystojnym Martinem, lecz to nie za sprawą owego przystojniaka pozwoliła dopuścić do siebie myśl, że czyjeś serce mogłoby drgnąć dla niej. Pracowała wtedy przy zbiorze truskawek w Holandii i to był najszczęśliwszy czas w jej życiu. Ostatniego dnia roboty grupka Mańki była weselsza niż dotychczas, a Martin – niemiecki student, który w Holandii bardziej szukał przygody niż zarobku – stał oparty o ciągnik i bawił się smartfonem, żując źdźbło trawy i od czasu do czasu bezmyślnie zerkając na grupę pracowników ze Wschodu.

– Borys, Martin tam stoi i cały czas się na nas paczy. – Mańka, szczęśliwa i rumiana, poinformowała o tym kolegę, z którym w dzieciństwie goniła po polu w majtkach albo w stroju kąpielowym z Myszką Miki.

– No i co z tego? Myślisz, że się w tobie zakocha?

Mańka nie przestawała się uśmiechać, mimo to twarz Borysa nagle spoważniała.

– No, w sumie... – dodał, a w jego głosie nie było słycać tego pogardliwego odcienia, jakim obdarzył ją kiedyś usmarkany Maciek.

I Mańkę dało się kochać. Z biegiem lat pryszczce pojawiały się na jej twarzy coraz rzadziej, a krzywe zęby – które tak naprawdę były mniej krzywe, niż się jej zdawało – postanowiła wyprostować za pieniądze zarobione w Holandii. Do tej pory tego nie zrobiła, ale zawsze można przecież kochać za coś więcej niż za nieskazitelnie czystą cerę i dwa rzędy równych, białych zębów. Na przykład za siorbanie podczas picia herbaty, za przygotowywanie listy zakupów na odwrotach paragonów, za namiętne rozszarpywanie suchej bułki. Ewentualnie z masłem. Można też kochać za nic.

Manię można było kochać albo za nic, albo za jej bezmyślny wyraz twarzy, przez niektórych błędnie odczytywany jako zewnętrzna oznaka głupoty. W rzeczywistości jednak to tępe, wiecznie zamglone spojrzenie i to jakby uroczyście zmarszczone czoło kryły pewną głębię – Mania otóż posiadała rzadką zdolność umiejętnej obserwacji. Między wacikami tonącymi w muszli zobaczyła swoją przyszłość, a z dobiegającej jej nozdrzy woni, która w krótkim czasie wypełniła łazienkę i zakręciła jej w nosie, wywróżyła nadchodzącą zmianę; miała nadejść wraz z ochłodzeniem, niesionym przez północno-wschodni wiatr.

Mniej więcej w tym czasie Lidka leżała brzuchem do góry, gapiąc się na żółty sufit. Gdyby była Manią, być może w płaskim suficie dopatrzyłaby się jakichś szczególnych znaków. Lecz Lidka nie miała takich zdolności jak Mańka, więc nie mogła wiedzieć, że nad jej głową istotnie kryją się pewne wskazówki, które – gdyby tylko potrafiła je odczytać – pomogłyby rozwiązać problem zaprzatający jej głowę.

Lidka była szczęśliwa. Od siedmiu lat spełniała się, sprzątając park w Smęcicach. Wcześniej pracowała jako ekspedientka w sklepie odzieżowym, ale szybko ją ta praca znudziła. Narzekała na monotonię i brak ruchu. W sklepie nie miała wiele do roboty. Oprócz doradzania klientkom, a rzadziej klientom, rozwiązywała krzyżówki. Po trzech latach знаła nazwy egzotycznych roślin i zwierząt, większość stolic świata (resztę dla własnej przyjemności wyszukała w atlasie), potrafiła bez zająknięcia wymienić w kolejności wszystkie żony Henryka VIII (choć nie było ich znowu tak wiele), kojarzyła najważniejsze bitwy w historii z odpowiednimi datami, posługiwała się niektórymi łacińskimi i francuskimi terminami. Wiedzę tę posiadała z nudy, ale dało jej to wiele satysfakcji. Praca w sklepie nie była jednak tym, czego Lidzia oczekiwała od życia. Miejski park zapewnił jej powietrze, a miotła ruch. Potrzeby Lidzi zostały zaspokojone. Zielen dawala jej więcej radości niż stolice świata, bo te znała tylko z papierowych krzyżówek, a park, poza powietrzem i ruchem, dostarczał jej zapachów i kolorów, które zmieniały się wraz z porami roku.

Lidka miała matkę i dwóch młodszych braci, ale mieszkała z psem. Nie dlatego, że psa kochała bardziej niż matkę i braci, bo nie było tak. Wraz z nową pracą postanowiła rozpocząć nowe, samodzielne życie. Znalazła mieszkanie w Smęcicach i szybko wyprowadziła się z rodzinnego domu. Wiodła żywot, z małymi

wyjątkami, harmonijny. Lubiła zagapić się w jeden punkt, czasami nic nie robić po pracy, słuchać, jak okruchy grzechoczą w rurze odkurzacza, kiedy sprząta kuchnię, zmywać naczynia, zdierać trudno ustępujący brud, robić kupę, oglądać filmy, czytać darmowe poradniki o dbaniu o urodę oraz doborze strojów, moknąć pod prysznicem i wachać smród z gęby Pimpka. Nie lubiła ciepłego mleka, pomalowanych paznokci i koronkowych majtek. Oprócz niemal do perfekcji opanowanej sztuki pakowania prezentów (choć już same prezenty były najczęściej nietrafione) oraz tego, że za sprawą muzyki potrafiła wpadać w wielogodzinne transy, nie miała wielu talentów.

Od czasu do czasu szła potańczyć do któregoś z nielicznych smęcickich klubów, a raz na kilka miesięcy jeździła do Dużego Miasta. Piła piwo, paliła mentolowe papierosy i tańczyła tak, że aż jej brakowało tchu. Uwielbiała głośną muzykę równie mocno, jak ceniła ciszę swojego parku.

Czasami kogoś poznawała. Pamiętała każdego. Ich imiona, daty urodzenia, co lubią, co ich śmieszy, co w życiu cenią. Każdego szanowała, dla każdego była miła. Podobało jej się to, że są ciepli, mają grube głosy i mocne dłonie. Czasami się z kimś całowała, ale nic więcej od niego nie chciała, jak tylko wspólnego przeżywania muzyki i tańca, dotknięcia szorstkich twarzy, może zapachu. Nie była to wina Lidzi, że się czasem któryś do niej przyczepił w tańcu, a ona, trochę bezwiednie, tę zaczepkę przyjmowała. Zazwyczaj jednak zamiary discomanów nie były czyste. Było jej przykro, bo niektórych naprawdę lubiła.

Lidzia była zwyczajna. Leżała na różowym kocu i zastanawiała się, jak wyczyścić brud, który od dłuższego czasu zagnieździł się w jej wannie.

O tej samej porze Steve przekroczył próg domu urządzonego w złym guście. Bywał tu rzadko, ale jak sam mawiał, lubił czasami wpaść na kontrolę. Był święcie przekonany, że te kontrole nie są rutynowe i tylko czekać, aż przyłapie swoją żonę na gorącym uczynku.

Dla kolegów po fachu Steve, a dla rodziny po prostu Stefan, był kierowcą tira. Jeździł dużą ciężarówką i kochał ją bardziej niż żonę. Pierwszą młodzieńczą fascynacją życiem, jakie niosła ze sobą ta profesja, miał już wprawdzie za sobą, lecz w jego sercu pozostał szacunek do swojej budy, czyli kabiny ciężarówki, w której spędzał noce na parkingach, nieraz bezsenne, a zawsze samotne (i to była jego jedyna złota zasada, niosąca ze sobą wszystkie niezbędne treści moralnego kodeksu pracy). Ten sam szacunek podpowiadał mu upraszać młode, żądne przygód, czasami bezwstydną, a często naiwne autostopowiczki, by przed wejściem do kabiny ściągały buty. Zgodnie też ze swoją złotą, a nigdy nie spisaną ani nie wyznaną przed Bogiem zasadą, nie zaglądał przesłicznym autostopowiczkom w dekolty i nie ślizgał się dłońmi ni wzrokiem po ich gładkich udach. Mówił o załadunku i rozładunku, o pauzach, żonie, córeczce i domu w budowie, żeby nie widzieć tych niewinne uśmiechniętych, ogorzałych od słońca, zmęczonych po trudach podróży twarzy, które poruszały nie tylko jego czułe serce.

Pierwsza fascynacja Steve'a minęła. Już nie zdarzało mu się opuszczać wieczorem kabiny, by ruszyć na podbój Paryża czy Amsterdamu. Steve na noc zamykał się w swojej budzie, zaparzał herbatę i słodził dwoma łyżeczkami białego cukru, później odkręcał słoik z bigosem, z którym wyprawiała go w drogę żona, zjadał połowę jego zawartości, przygryzając trzema kromkami pszennego, białego niemalże jak cukier chleba, po czym włączał

sobie film, zazwyczaj głupi albo pornograficzny, ale wszystko mu było jedno, byle tylko zleciał jakoś wieczór. Po tygodniu zaczynał myśleć o powrocie do domu. Mniej więcej po upływie tego czasu w małej lodówce brakowało słoików, a choć Marzena – jego żona – na bieżąco informowała go o każdym ząbku, który straciła ich córka, i zapewniała, że zarówno ona, jak i córeczka świetnie sobie radzą bez niego, Stefan żałował, że nie może patrzeć, jak rośnie jego Karolcia i, przy okazji, mieć na oku swoją młodą żonkę. Kiedy zaś Marzena rozpoczynała swoje niekończące się telefoniczne wywody, dziękował jednak Bogu, że jest daleko od domu, odkładał telefon na bok, włączając tryb głośnomówiący na wypadek, gdyby padło jakieś pytanie, i skupiał się na rozpościerającej się przed nim drodze, puszczając mimo uszu to, co słyszał już wielokrotnie: że mógłby pomyśleć o dodatkowej pracy w jakiejś innej firmie, bo przecież mała niedługo pójdzie do szkoły, a książki są bardzo drogie, poza tym dziecko nie może chodzić na lekcje w przykrótkiej sukience – żeby ją dzieci wyśmiały? To już lepiej, żeby w ogóle nie poszła do szkoły... No, a dodatkowe lekcje angielskiego? W dzisiejszych czasach nie znać angielskiego to gorzej niż nie znać polskiego... A ferie zimowe? A wakacje nad morzem? Matka nie może na to wszystko zarobić, ponieważ ktoś musi dbać o wychowanie córki.

Kiedy więc dwudziestego pierwszego listopada, nacisnąwszy klamkę i pchnąwszy drzwi do sypialni żony, a właściwie ich wspólnej małżeńskiej sypialni, Stefan zobaczył Marzenę grzecznie śpiącą, i to śpiącą samotnie, zamknął je cicho z powrotem, a upewniwszy się, że Karola śpi tak samo smacznie jak jej matka, choć w towarzystwie pluszowej kaczki, usiadł na salonowej sofie i wyłączył kiczowatą lampkę z fioletowym kloszem. Tego wieczoru Stefan nie tylko uświadomił sobie, że nigdy nie kochał

swojej niewiernej (tego był pewny) żony, ale że jest ktoś, prócz Karoli, kogo darzy miłością, której odmówił żonie. I nie była to ciężarówka.

Tego samego wieczoru Bogdan leżał w łóżku, pod kołdrą obleczoną poszewką w wyblakłe od częstego prania kwiaty, a padające z ekranu telewizora niebieskawe światło oświetlało jego napuchłą twarz.

Bogdan od pół roku był na emeryturze. Każdego dnia wstawał wcześniej – między siódmą a ósmą – ale budził się jeszcze wcześniej. W uśpionej ciemności godziny piątej, leżąc na prawym boku, obok żony leżącej na swym boku lewym, słuchał tykania zawieszzonego na różowej ścianie zegara, rozpamiętywał minione czasy i zastanawiał się, czy jest jeszcze coś, co czeka go w życiu. Myślał też o swoich rozproszonych po ziemi dzieciach, które, wysłuchawszy uprzednio z należytym szacunkiem jego cennych rad i uwag o przyszłości, planowaniu rodziny i życiu w ogóle, swoimi ścieżkami rozpierzchły się w cztery strony świata, kierowane sobie tylko znanymi pobudkami. Bogdan równie często jak jego żona zastanawiał się, czy nie żyją czasami w nędzy i czy są szczęśliwe. Poza tym myślał o tym, co przydarzyło mu się wczoraj, o ludziach, z którymi rozmawiał, o tym, co im powiedział i czy ujął to we właściwe słowa. O tym, co może zrobić dzisiaj, o tym, czego nigdy nie powiedział swojej żonie, i o tym, czy Bóg na pewno jest silniejszy od szatana, bo samego istnienia Boga, zważywszy na osobliwe zdarzenie, które zbudziło go pewnej nocy, nie podważał.

Nigdy nie wstawał z łóżka lewą nogą, ale nigdy się też specjalnie nie starał, by to prawa postawiła pierwsza tego dnia krok. Zazwyczaj po prostu stawiał obie nogi naraz, ale robił to raczej

mechanicznie niż za sprawą wcześniej przemyślanej taktyki. Po jego energicznym zerwaniu z horyzontalną pozycją podbiegał do Bogdana pies, lubiane, potulne stworzenie, zwykle jednak omijane o poranku bez należącego się mu przywitania. Bogdan podchodził do okna, odsłaniał żaluzje, patrzył za szybę i czasami myślał sobie: O kurwa, mój Boże, daj mi dość siły!

Później jadł śniadanie z żoną. On przygotowywał herbatę. Czarną, z torebki, niezbyt mocną. Rozlewał do dwóch kubków – dla żony i teściowej – a do szklanki w żółtym plastikowym koszyczku – dla siebie. Słodził dla każdego. Ona kroїła chleb, smarowała masłem i pytała:

– Z czym chcesz?

A jemu nigdy nie przyszło na myśl, żeby powiedzieć, że ją kocha. Gdyby nawet taki pomysł powstał w jego głowie, wypowiedziany zabrzmiałby absurdalnie, więc odpowiadał:

– Nic w tej lodówce nie ma.

A ona złościła się na niego, choć mogła przypuszczać, że tak odpowie.

– Jak to nic nie ma? Jest kiełbasa swojska, salceson, ser żółty, dżem...

Odpowiedź nie padała.

– To z czym ci dać, co?

– Daj z dżemem.

Dzień mijał Bogdanowi na różnych zajęciach. W sezonie grzewczym zaczynał od napalenia w piecu. Czynność tę uznawał za niebłahą, bo niosącą realne ciepło, a nie tylko takie, które wypełniłoby podbrzusze małżonki, gdyby na przykład choć raz w życiu przyniósł jej bukiet kwiatów. Picie kawy zaliczał natomiast do rzeczy błahych i spełniał tę błahostkę dwa razy dziennie – po śniadaniu oraz po poobiedniej drzemce. On – dwie

umiarkowanie kopiaste łyżeczki kawy, w szklance w złotym plastikowym koszyczku, z cukrem, bez mleka, żona – jedna umiarkowanie kopiasta łyżeczka, z cukrem i mlekiem. W przerwie między tymi czynnościami, oglądał telewizję, najczęściej Eurosport. Dzień kończył rozświetlony błękitnymi promieniami, których dostarczał mu 48-calowy, superpłaski, całkiem nowy telewizor, z całą jego mnogością atrakcyjnych tematycznych programów, i zastanawiał się, czy może następnego dnia uda mu się odzyskać utracony z odejściem na emeryturę cel życia.

Wioletka tymczasem doznawała rozkoszy, drapiąc się w lewej dziurce nosa. Z niemałym zdziwieniem, stojąc przed lustrem i wykonując niezbędne przedsenne zabiegi pielęgnacyjne twarzy, poczuła przyjemne swędzenie. Była już bowiem przekonana, że nie jest zdolna do miłości. Ilekroć miała do czynienia ze swędzeniem nosa, była to raczej prawa dziurka, zwiastująca złość. Swędzenie w lewej natomiast odczytała jako zapowiedź miłości.

Była niedziela. Wioletka rozpoczynała dzień od rodzinnego śniadania, po którym wraz z rodzicami i o pokolenie młodszą siostrą spacerowała do kościoła. Lubiła siedzieć w kościele. W jego surowych murach, czując przeszywające ją niemalże do kości zimno, wiedziała, że nie musi nawet myśleć (podobny spokój ogarniał ją tylko podczas oglądania latynoamerykańskich telenoweli i meczów piłki nożnej). Czowała się bezpiecznie, poczynawszy od pierwszego dzwoneczka, oznajmiającego rozpoczęcie mszy, przez krótki rytuał wkroczenia księdza i ministrantów, ich dostojne, jak uważała, ukłęknięcie, aż po finalne „Idźcie w pokój Chrystusa”. Jedyną pewną w jej życiu rzeczą nie były śmierć i podatki, ale to, że w niedzielę w kościele odbędzie się msza, na którą się ona wybierze. Podczas tej mszy wszystko, z wyjątkiem

może kazania i ogłoszeń duszpasterskich, będzie dokładnie tak, jak w zeszłym i poprzednich tygodniach. Świadomość ta napełniała ją optymizmem, kiedy cholernym listopadowym przedpołudniem przeskakiwała kałuże, które stawały jej na drodze do kościoła.

Po powrocie ze mszy piła kawę w towarzystwie swojej pobożnej rodziny, a czas między kawą i obiadem wypełniała doprowadzaniem rosółu do perfekcji i obracaniem kurczaka w piekarniku. Po obiedzie, tak jak reszta rodziny, z do granic możliwości napełnionym brzuchem zapadała w krótką drzemkę, by po mniej więcej półgodzinnym śnie zaczerpnąć powietrza na wspólnym, przykładowo rodzinnym niedzielnym spacerze. Wieczorem, jak każda wzorowa córka na wydaniu, zasiadała przed telewizorem wraz z szanowanego wieku ojcem, nieco mniej szanowanego wieku matką oraz małą siostrzyczką, by dzień święty zakończyć filmem familijnym. Niedziela mijała leniwie. Tak jak całe życie Wioletki.

Studiowała pedagogikę i była prostytutką. Nigdy nie myślała o sobie jak o dziwce, a w myślach nazywała siebie po prostu płatną kochanką.

Okładka:
Adam Walas

Zdjęcie autorki:
Michi Baumann

Redakcja i korekta:
Janina Koźbiel, Jan Koźbiel

Skład i łamanie:
MJK

ISBN 978-83-62247-69-1
[wydanie cyfrowe]

Wydawnictwo JanKa
ul. Majowa 11/17
05-800 Pruszków
694 536 051

wydawnictwo@jankawydawnictwo.pl
www.jankawydawnictwo.pl

Nie ma na mapie Polski miejscowości o nazwie Cichoborek. Przynajmniej nie mi o tym nie wiadomo. Ale – paradoksalnie – takich Cichoborków jest w Polsce, Europie, na świecie dużo. Mógłby być miejscem, w którym się urodziłam, albo wsią mojej babci. Widziałam Cichoborek nad polskim morzem, w ukraińskiej podkarpackiej wiosce, w rumuńskich pipidówkach. Mógłby być nawet osadą w borneańskiej dżungli. Takie miejsca mnie fascynują.

Urszula Stokłosa

W Cichoborku – sennej wsi gdzieś na południu Polski – ciekawych historii na pozór brak. Życie toczy się zgodnie z cyklem roku liturgicznego, okazji do zabawy dostarczają chrzciny, wesela i stypy, czasem imieniny i sylwester organizowany w remizie. Burzę plotek wywołuje pozamałżeńska ciąża, nikt nie pokłóci się na tyle cicho, żeby umknęło to uwadze sprzedawczyni Jadzi; żaden gość nie przejdzie przez wieś niezauważony. A przecież są w Cichoborku tacy, którzy nie mieszczą się w ramach stworzonych przez despotycznego proboszcza oraz obłudną sklepową. Gdy do wsi przybywa nowa opiekunka dziewięćdziesięcioletniej staruszki, niektórzy mieszkańcy ujawniają wartę opowiedzenia dramaty.

Czym jest ten Cichoborek? Zwykłą wioską czy przestrzenią mityczną? Czy obmywa go szary nurt literatury o polskiej prowincji, czy barwny – lokalnego realizmu magicznego? Jedno i drugie. To miejsce zaplatania się losów, które ów splot czyni nie tylko regułą konstrukcyjną, lecz także źródłem sensu życia i opowieści. Bo co innego mamy, uczy Cichoborek, niż rzeczy elementarne: bycie z sobą, bez siebie, wobec siebie – i odchodzenie. Być może główną bohaterką książki nie jest ani Justyna, dla której Cichoborek jest tylko przystankiem, ani esencja cichoborkowości. Kto wie, czy nie jest nią śmierć, a konkretniej: ta dziwna strefa umierania, która miesza cielesne z bezcielesnym, święte z nieświętym. Z Cichoborka nie odchodzimy bowiem osobno – i wyjątkowo długo trzymamy się ziemi.

Eliza Kącka

